

Hanna Zawistowska -Nowińska

MOJE WSPOMNIENIA

.....

16 sierpnia przeniesiono mnie na izbę przyjęć do głównego szpitala na Starówce przy ulicy Długiej 7. Tu już pracowałam do upadku powstania. Nie zapomnę ciężko poparzonych siedmiu osób, od bomby burząco - zapalającej. Skora czarna na nich kruszyła się i zwijała płatami. Nie mogli leżeć ani stać, przybierali pozycję „kociego grzbietu”. Nie umieliśmy im pomóc. Umierali w straszliwych mękach. Przyniesiono na drzwiach zamiast noszy mężczyznę z wielkim odłamkiem tkwiącym w pośladku. Na szczęście żelazo nie wbiło się głęboko, tylko na zewnątrz wyglądało przerażająco. Po usunięciu odłamka i założeniu szwów, pacjent szczęśliwy, że może poruszać nogami, pokuśtykał a kolegami do swojego oddziału.

Przyprowadzono do nas chłopca, który podobno stracił oczy podczas bombardowania. Kilka dni leżał gdzieś w piwnicy, zabandażowany. Po zdjęciu brudnych, zaropiałych opatrunków, oczyszczeniu oczodołów z larw i usunięciu kilku odłamków, które tkwiły w skórze powiek pacjent nagle upadł na kolana i dziękował za cudowne uzdrowienie, bo był przekonany, że już nigdy nie zobaczy tego świata.

Chłopcy produkujący butelki zapalające - broń przeciwczołgową - byli naszymi codziennymi gośćmi, mieli ręce poranione i poparzone, owinięte w brudne szmaty, rany nie chciały się goić. Lekarz kilka razy był wzywany do kobiet rodzących. Żał mi było tych młodych matek i ich dzieci. Nasi dowódcy z różnych ugrupowań wpadali czasem na izbę przyjęć by zmienić opatrunek lub założyć nowy. Zawsze z uśmiechem i optymizmem.

Podczas bombardowania na ulicy Długiej podmuch był tak silny, że worki z okna powyrywał jak piórka, a szafki i leki posypały się w różne strony. Lekarze i magister farmacji wsunęli się pod stół, a ja młoda dziewczyna bez poczucia lęku i wyobraźni, widziałam w tej sytuacji groteskę i zaczęłam się śmiać. Dopiero doktor wrzasnął: „lotnik kryj się, jeśli głupia nie chcesz stracić głowy”. Chłopcy od „Roga”- mjr Stanisław Błaszczak bardzo żalowali, że nie jestem z nimi na Freta. Czasami ich odwiedzałam. Sprawdzałam, jak się goją ich rany. Nie zapomnę, jak kiedyś „Ziutek” od „Parasola” recytował im swoje wiersze „...Czekamy na ciebie czerwona zarazo, byś wybawiła nas od czarnej śmierci...”.

Kończył się sierpień, zaczęto mówić, że chłopcy przejdą kanałami do Śródmieścia. Pytano i mnie ,czy zechce z nimi opuścić Starówkę. Ale co będzie z rannymi? Postanowiłam zostać. Ksiądz Kaniowski, mój katecheta gimnazjalny, kilkakrotnie przechodził kanałami z pałacu Biskupiego przy ulicy Książęcej na Stare Miasto. Ale ja mam klaustrofobię i bałam się, że nie pomogę chłopcom tylko narobię kłopotu w kanałach. Postanowiłam zabrać moja mamę do pomocy, dostałam przepustkę i pobiegłam na Rynek starego Miasta 18. Mama właśnie pomagała gasić nasz dom. Położyłam się na chwilę w piwnicy, by nieco odpocząć i zasnąć. Obudziła mnie mama i kolega, który miał wartę na rogu Krzywego Koła. Niemcy weszli na Rynek i obstawiają wszystkie domy. Nie dostaniemy się do szpitala.

Zdejmujemy opaski i palimy legitymacje. Niemcy rewidują nas, grabią co się da, wyprowadzają z domów, a inni żołnierze niemieccy wnoszą do domów kanistry z benzyną.

Ustawiają nas w kolumny, prowadzi na Plac Zamkowy, na ulicę Bednarską, a potem przez całą Warszawę tłumnie poganiani idziemy w nieznane. Co z nami będzie? Od czasu do czasu własowcy wyskakują z boku i wyciągają młode kobiety. Mama ze strachu zarzuciła mi koczek na głowę. Obie z matką prowadziłyśmy babcię pod rękę. W pewnym momencie podskoczył do babci jakiś wojak skośnooki i chciał jej zdjąć obrączki z palca. Niemcy podczas rewizji nie zdążyli ich zabrać, a myśmy w tym zamieszaniu nie dopilnowały, żeby je schować. Byłyśmy bardzo zdenerwowane, gdy podbiegł ten typ, jednocześnie wrzasnęłyśmy „won”! Widocznie nie spodziewał się takiej reakcji, bo zostawił nas w spokoju.

Po miesięcznym siedzeniu w piwnicach na głodowej diecie, ludzie byli słabi i z trudem dźwigali swoje tobołki, które w takim marszu były ponad ich siły. Wielu porzucało je po drodze. Biedne matki niosły swe dzieci. Po drodze spotkałam koleżankę ze szpitala. Pocieszała mnie żebym się nie martwiła, że nie wróciłam do szpitala, bo i tak już nic bym nie mogła pomóc naszym rannym. Z wielkim trudem dotarliśmy do dworca zachodniego. Załadowali nas do wagonów i zawieźli do przejściowego obozu w Pruszkowie.

Podzielono nas na trzy grupy wiekowe. Postanowiłam dostać się do baraku dla starców, bo ich do Niemiec nie wywiozą. Odszukałam babcię i starego wujka. Babcia przytomnie zaczepiła jakąś panią w białym fartuchu i zapytała czy zna dr Józefa Maya z Warszawy. Bo to był jej syn. Powinien być na lotnisku w Komorowie. Okazało się, że wuj dał jej długą listę rodziny i znajomych. Jeszcze tego dnia babcia Ludwika May i wuj Jan May opuścili obóz. Mnie z mamą przeniosła ta pani do baraku dla ciężko chorych, aby uchronić przed wysłaniem do Rzeszy. Na brudnych zaropiałych matach leżeli ciężko ranni. Raz dziennie przyjeżdżał beczkowóz z zupą. Trzeba było dopchać się z menażką, by zdobyć upragniony posiłek. Po wodę, trzeba było stać w długiej kolejce i mieć mocne łokcie. O myciu można było tylko marzyć. Ubikacji nie było, tylko niebezpieczne, cuchnące, zupełnie odsłonięte latryny. Widziałam jak Niemcy prowadzili tłum księży zakonników i zakonnic z różnych zgromadzeń na wywózkę.

Po kilku dniach udało się nam opuścić obóz na zawsze. Szczęśliwie dojechaliśmy do wujostwa w Komorowie. Zamieszkałyśmy z babcią w domku lotniskowym. Ja pracowałam w szpitalu dla warszawiaków, który zorganizowali lekarze warszawscy, wujka koledzy. Niestety długo to nie trwało, Niemcy zaczęli poszukiwać powstańców, nie mogliśmy narażać gospodarzy.

Dostałam polecenie, by zawieźć sieroty i dzieci zagubione w powstaniu do Częstochowy i Krakowa. Z całym transportem szczęśliwie do tarliśmy do Częstochowy. Siostry zakonne już czekały na nas i zaopiekowały się dziećmi. Pierwszy raz w życiu byłam na Jasnej Górze. Z następną grupą dzieci udałyśmy się do sióstr zakonnych w Krakowie. Zamieszkałam w krewnych na Słomnikach pod Krakowem. Pracowałam społecznie w RGO, prowadziłam listy poszukiwań rodzin przez Czerwony Krzyż, pomagałam założyć szpitalik dla chorych i rannych warszawiaków i pełniłam tam dyżury.

.....